



WIKTOR GOMULICKI

DLACZEGO  
MÓJ ZNAJOMY NIE MÓGŁ  
DOTĄD „PISM” SWOICH  
NAPISAĆ ?

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA

DLACZEGO MÓJ ZNAJOMY NIE MÓGE  
DOTYCHCZAS „PISM“ SWOICH NAPISAĆ?



WIKTOR GOMULICKI

DLACZEGO MÓJ ZNAJOMY NIE MOGŁ  
DOTYCHCZAS „PISM“ SWOICH NAPISAĆ?

HUMORESKA

NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA  
POZNAŃ - - - - - WARSZAWA

1909



286486

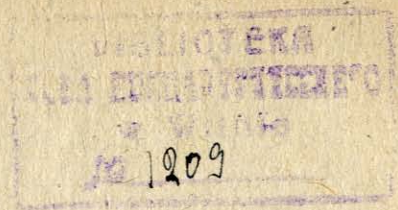
BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0173079

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA.

W/180/05p



— Poeta?... Wiem, wiem! Ja także umiem... to jest umiałbym -- ale...

Bo, widzisz pan, na tym świecie nie dość chcieć, trzeba też i móc. Czasem jednak i chcesz i możesz, a nie dadzą...

Nie dadzą — jak Boga Kocham, nie dadzą!

Natchnienie?... Wiem, wiem! Nie brak mi tego dobrego. Mógłbym niem innych obdzielić. Ale dziesięć natchnień nie pomoże, gdy — nie dadzą!

Pisujesz pan w nocy? Wszyscy poeci w nocy pisują. Sztuka nie dla każdego — ja to także potrafię. Wieczorkiem drzemię dwie trzy godziny — potem trzeźwy, wywczasowany, do białego dnia pracować mógłbym...

Cóż, kiedy nie dadzą!

Nieraz myślę, że poeci powinni mieszkać w głębi puszczy niedostępnych, na szczytach wyniosłych gór, albo — pod

ziemią. W dużym mieście — zwłaszcza tak roztrajkotanem i rozklekotanem, jak Warszawa — poetą być nie można. Nawet w nocy nie można!

Masz pan ciche mieszkanie? Pisujesz pan u siebie w domu? Dla mnie jest to niepodobieństwem.

Dawniej, co prawda, było gorzej jeszcze. Mieszkałem „familijnie“. Musiałem tak mieszkać. Początki wszędzie, więc i w magistracie, są ciężkie. Byłem tylko „dietarjuszem“. Dziś, jak pan wie, liczę się do etatowych. Mam tyle, że mogę się zajmować poezją — po nocach.

Czy wiadomo panu, co to jest mieszkać familijnie? Za kilkanaście, czasem nawet za kilka złotych, ma się „kat“ w izbie, która takich katów posiada ośm, dziesięć, szesnaście, każdy zajęty przez kogo innego.

Jest tam bardzo wesoło i bardzo — niewonnie.

W nocy, kto chce, może w swoim kącie zapalić świeczkę, lampkę, kaganek, na kolanach rozłożyć kajet i pisać. Ale pisze „poezje“, gdy obok ciebie z jednej strony stęka baba, z drugiej kłóci się

matżeństwo, a nieco dalej nocny hulaka choruje ciężko po przepiciu...

W tej epoce życia zdobywałem się tylko na pomysły.

Mógłbym panu kilka pomysłów ofiarować. Nie zbywa mi na nich i to w każdym rodzaju. Mam pomysły historyczne, romantyczne, filozoficzne, elegijne, żartobliwe.

Gdy mi otoczenie najbardziej dokuczało, obmyślałem — humoreski. Były świetne, porywająco komiczne — niech mi pan wierzy. Czasem myślę, że urodziłem się humorystą. Ale nie! bo i w rodzaju tragicznym tworzę również rzeczy doskonałe.

Chciałbyś je pan zobaczyć? I owszem. Bądź łaskaw otworzyć moją głowę i zajrzeć do środka. Znajduje się tam w tej chwili zbiorowe wydanie mych pism, w dwunastu tomach, z dwutomowym suplementem — wydanie przejrzane, uporządkowane, opatrzone przedmową i objaśnieniami.

Pisma powinny być napisane? Wiem, wiem! Co prawda, nie uważam tego za czynność najważniejszą. Rzecz główna:

„komponować“. Jednak i na pisanie przyjdzie kolej. Przyszłaby już dawno — gdyby mi pisać dali...

Ale czy dadzą?

Oto moje marzenie:

Oficyna domu parterowego, z oknami wychodzącymi w pole. Trzy pokoje w rzędzie, jeden za drugim. Pierwszy olbrzymi i ostatni olbrzymi — w środku pomiędzy nimi: maleńka ciupeczka. W pierwszym i ostatnim pokoju żadnych mebli; w środkowym małe biurko, fotelik, półka do książek, w kącie proste, żelazne łóżko i także umywalka. Nic więcej.

Drzwi od pokoiów bocznych pozamykane na klucz i na zatrzaski angielskie. Drzwi od sieni nietylko zamknięte, lecz i sztabą żelazną założone. Okno podwójne, od zewnątrz okiennica, od środka roleta i drewniane „story“.

Na biurku lampa, nakryta umbrą, ogromny kałamarz, ryza papieru gładkiego, pęk ołówków i obsadek, pudło piór stalowych. Cisza taka, że słycać chód mego zegarka w kieszonce od kamizelki.

W tym pokoju, przy tem biurku, napisałbym wszystkie swe dzieła!

Tymczasem jednak pan wie, że mój „etat“ na trzy pokoje nie wystarcza. Poprzestawać muszę na jednym, wynajmowanym byle gdzie, byle jak — aby tanio.

Nieustannie tę pokoje zmieniam. Wciąż ludzę się nadzieją, że natrafie wreszcie na taki, w którym będę mógł swoje „pisma“ napisać. Próżne marzenie!

W wielu domach jestem już znany; wcale mi tam pokoiów pokazywać nie chcą. Koledzy zowią mnie „beduinem“, „Żydem wiecznym tułaczem“ — wypytują: kiedy obchodzić będę jubileusz setnej przeprowadzki?

Kto temu winien? Nie ja, upewniam pana.

„Pokój cichy?“ — pytam za każdym razem przy wynajmowaniu. — „Cichuteńki“ — upewniają mnie uroczyście. — „Żadnych hałasów w sąsiedztwie?“ — „Skąd hałas? Toć pan widzisz, że tu niema ani szynku, ani kawiarni, ani chederu...“

Wprowadzam się zawsze pełen otuchy i zawsze pierwszej nocy, którą chcę po-

święcić pisanu, doznaję najokropniejszego zawodu.

Co mi przeszkadza? Wszystko, na co mój naczelnik i pomocnik mego naczelnika i pierwszy sekretarz i drugi sekretarz i wszyscy etatowi i nadetatowi referenci mego wydziału i ja sam wreszcie od godziny ósmej rano do ósmej wieczorem nie zwrócilibyśmy najmniejszej uwagi...

Ale ja w nocy przestaję być urzędnikiem. Moje nerwy stają się wówczas nerwami Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego i Krasickiego.

Zwykle bywa tak:

Przed północą, pełen zapału i chęci do pracy, zasiadam przy biurku. Dokoła panuje błogosławiona cisza. Obsadzam pióro, maczam je w atramencie — u góry czystego arkusza wypisuję ozdobnymi literami tytuł.

Wypisuję tytuł, zaczynam gryźć koniec obsadki i czekam.

Czekam na natchnienie.

Chciałbym wiedzieć: jaki przeciąg czasu dzieli u pana wypisanie tytułu od rozpoczęcia dzieła? U mnie on trwa bardzo długo.

I w tym to właśnie czasie zaczynają się moje męki.

Pokój z zagwarantowaną cichością okazuje się pełnym głośnych niespodzianek.

Oto najpospolitsza z nich i najniewiniejsza.

Ni stąd, ni zowąd, gdy już przykładam pióro do papieru, żeby napisać pierwszy rym ułożony w natchnieniu, tuż za ścianą rozlega się dziwny, dwuznaczny głos, ni by bulgotanie gotującego się samowara...

Ręka mi sztywnieje — nadstawiam uszu. Głos stopniowo wzmaga się, potężnieje. Po chwili, zamiast samowaru, słyszę sapiącą, parskającą lokomotywę. Drętwieję, bo wiem już, co to znaczy. Zmiany następują teraz bardzo szybko. Lokomotywa zmienia się w miech kowalski; miech — w kwiczące prosię; prosię w przedęty klarnet, klarnet — w grzmiący puzon; — puzon w zarzynanego wieprza.

Przy ostatniej zmianie, która trwa najdłużej, już o pisaniu myśleć nie można. Arkusz z wypisanym tytułem chowam do

szuflady — kładę się do łóżka — głowę poduszką nakrywam.

Panie! czy pan w nocy chrapie? Ja nigdy. Jestem głęboko przekonany, że Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i Krasiński również nie chrapali.

Chrapanie jest urąganiem poezji. Człowiek chrapiący stanowi antytezę człowieka natchnionego. Chrapią przeważnie ludzie tłuści, a poeta nigdy tłustym nie bywa.

Po kilku nocach w ten sposób przemęczonych zwijam swój namiot „beduina“ i przenoszę się gdzie indziej.

Gdzie indziej niema chrapiącego sąsiada, jest za to coś lepszego.

Zaczyna się to od długiego i żałośnego, bardzo długiego i bardzo żałośnego poziewania.

Odrazu poznaję, że to ziewa kobieta. Kobieta stara i samotna, gdyż młode i niesamotne ziewać w nocy nie potrzebują.

Ziewać przestała — zaczyna człapać po pokoju w przydeptanych pantoflach, pilnie czegoś szukając. Postępuje przytem i nosem czmycha w sposób niesłychanie drażniący.

Siadła wreszcie — zaczyna się modlić. Czy pan słyszałeś starą niewiastę, modlącą się w nocy? Ta jest nietylko starą niewiastą, ale i starą grzesznicą. Inaczej nie biłaby pięścią w chudą pierś tak mocno, jak pijany „lokator“ w zamkniętą bramę.

Idą pacierze po pacierzach, litanje po litanjach, antyfony po antyfonach — wszystko przy towarzyszeniu wzdychań, jęków, głośnych lamentów, rozdzierających uszy zawodzeń.

Lęka się starucha diabła — musi mieć ważne do tego powody!... Odpędziła go wreszcie. Niestety! razem z diabłem uciekło z mego pokoju natchnienie.

Pan się dziwi? To niech pan weźmie Mickiewicza, ofiaruje mu miljon za wiersz i każe pisać w sąsiedztwie modlącej się baby. Zobaczymy, czy on choć pół wiersza napisze!

Rozumie się, że po tygodniu już mnie tam niema.

Ale licho nie śpi. Czytałem, że każdy poeta jest przez los prześladowany. Tak było z Mickiewiczem, Krasińskim, Krasińskim. W księdze moich przeznaczeń na-



pisano, że nie będę stanowił pod tym względem wyjątku.

Po sąsiedztwach modlących się i chra- piących fatalność zesłała mi sąsiedztwa kłócące się i kochające.

Pierwszy z dwóch ostatnich rodzajów jest straszny; drugi — jeszcze strasz- niejszy.

Nieraz rozmyślałem nad taką sprawą.

Zaden prawodawca nie ma mocy przy- kazać małżonkom, żeby nie kłócili się, zaden tem bardziej nie jest w prawie za- kazać im, żeby się nie kochali. To jest jasne i niewzruszone. Czy jednak nie mo- żnaby skłonić rządów do wydania rozpo- rządzenia, któreby zabraniało małżonkom kłócić się i kochać — głośno?

Na tym stanie rzeczy cierpi nietylko poezja...

W sąsiedztwie małżeństw poróżnio- nych i rozkochanych nigdy długo nie popasał. Zdarzało się nawet nieraz, że z ich powodu musiał od biurka zrywać się i na miasto wybiegać.

Kilkakrotnie nasyłał na mnie los są- siada pijaka.

Brzydzę się pijaństwem i pijakami; do trunków mam wstręt nieprzewyciężony. Gdy mnie zaleci odór prostej wódki, jes- tem bliski zemdenia...

Ach! zgaduję myśl pańską. — Jeśli to prawda — myślisz pan — to skądże ten nos czerwony?...

Mógłbym łatwo uciec się do wykrętu i powiedzieć: z odmrożenia. Moi kole- dzy biurowi tak o tem sądzą. Jeden na- wet puścił w kurs plotkę, że odmroził nos podczas odwrotu z Rosji w roku 1812. Dowiodłem mu metryką, że to anachro- nizm, urodziłem się bowiem w czterdzie- ści lat później.

Z panem nie mogę być obłudnym. Niech więc pan się dowie, że w naszej rodzinie czerwone nosy przechodzą z oj- ca na syna dziedzicznie. Dziedzicznie też mamy wszyscy słabe żołądki i wzmac- niać je musimy wódką mętową.

Ufam pańskiej znajomości rzeczy, że wódki mętowej słodkiej, numer drugi, trzeci, a zwłaszcza czwarty, nie będzie pan zaliczał do zwykłych, ordynarnych, pijackich „trunków“. To już prawie li-

kiery — arystokracja napojów wysokowych...

Tych, co mnie prześladowali, czuć było przez ścianę prostą śmierdziuchą, w razie najlepszym kminkówką. Zachowywali się też ordynarnie, jak w szynku.

Równość, demokracja, „młodszy bracia“ *et caetera...* Wiem! wiem! To też wyznam panu w zaufaniu, że od ich zachowania się cierpiał we mnie nie tak zwany „człowiek światowy“, lecz — artysta.

Nie wyglądam na artystę?... Pucłowata twarz: nos zadarty, łysina nie zgadzają się z wybrednym smakiem, nerwami delikatnymi?... Jeżeli to jednak prawda, to skąd (pytam) wzięło się dwanaście tomów moich „Pism“ — dotąd wprowadzanie nienapisanych... ale to okoliczność drugorzędna.

Moim sąsiadom alkoholikom wybaczyłbym przewracanie i łamanie stolików, tłuczenie szkła i porcelany, nawet krzyki hałaśliwe; czego wszakże wybaczyć im nie mogłem, to — piosenek, które po pijanemu na całe gardło wyśpiewywali.

Pomijam sprośną treść tych utworów — ależ ich forma!

Uwielbiam piękną formę. Jeżeli kiedykolwiek napiszę — które ze swych „pism“, zobaczy pan, jak starannie dobieram rymy, jak dbam, żeby były dźwięczne, muzykalne.

Co sobota studuję w naszych tygodnikach „odpowiedzi redakcji“. Są tam wspomniane pogardliwie rymy, zwane „częstochowskiemi“. Takich rymów wystrzegam się jak ognia. Pomimo, że mam nos zadarty, twarz pucłowatą i łysinę!...

Piosenki moich przyjaciół były poniewierką poezji. Co za rytmika! co za rymy! „I to“ i „koryto“... „liście“ i „leżcie“... „naszą“ i „kielbasą“... „Maciek za nią“ i „ocet z banią“...

Gdybym przez kilka nocy z rzędu przysłuchiwał się takiemu rymowaniu, moja piękna forma zesłaby na psy. Aby ją ocalić, pakowałem czem prędzej swoje manatki i wynosiłem się — gdzie indziej.

Dokądkolwiek, byle gdzie indziej.

„Gdzie indziej“ to hasło mojego życia. Ite razy marzę o spokoju, o możliwości pracowania, o sławie, o szczęściu i pytam: gdzie one? — los odpowiada:

— Gdzie indziej...

Dlaczego mój znajomy ...



Przebiegam z miejsca na miejsce zdyszany, uznojony, upadający ze zmęczenia, a gdy zdaje mi się, że już szczęścia mego blisko i rękę po nie wyciągam, los pędzi mnie dalej, powtarzając:

— Gdzie indziej... gdzie indziej...

Koledzy z magistratu nie bez racji nazywają mnie „Żydem wiecznym tułaczem!“

Trudno mi wymieniać wszystkie rodzaje sąsiedztwa, które życie moje zaturowały. Znudziłoby to pana. Wspomnieć jednak muszę, że zdarzały się między nimi i przyjemne.

Te przyjemne były, niestety — zbyt przyjemnymi...

Tak na przykład, w czasach, gdy na głowie mej rosły jeszcze włosy, przeznaczenie dało mi za sąsiadkę młodą wdowę.

Pan zna młode wdowy? Jest to rodzaj niebezpieczny — powiedziałbym nawet: najniebezpieczniejszy.

Należę wogóle do odważnych. Śmieję się z „trzynastki“, na dnie feralne nie zważam, zasypiam bez światła, mógłbym stanąć do walki z całym pułkiem... duchów. Ale przyznać się muszę do jednego: boję się kobiet.

Największą bojaźń budzą we mnie panny. Gdy która spojrzy na mnie, uczuwam strach paniczny, blednę (z wyjątkiem nosa) i uciekam. Ten strach nie wpływa ze wstrętu. Przeciwnie. Chętnie całymi godzinami przyglądałbym się pannom — gdybym był pewny, że żadna na mnie nie spojrzy.

Z wdowami rzecz inna! Wdowy — to przeciwnik rozbrojony. Do fortecy najtrudniej wdrzeć się pierwszemu żołnierzowi — drugi, trzeci mają już drogę utorowaną.

Pewnie pana nudzę... Nie? No, to jeszcze będę mówił o tej wdowie. Była to dziwna osoba i dziwną rolę w mem życiu odegrała. Najpierw oduczyła mnie bać się kobiet, a potem stała się przyczyną, że odtąd na żadną już kobietę patrzeć nie mogę.

Zacząło się to od — dziurki w drzwiach. Nasze pokoje przedzielały jedynie drzwi, oklejone tapetami. W tych drzwiach zaraz pierwszego dnia wyświdrowałem dziurkę. Zamiast przy pracy nad poematem, spędzałem godziny przy dziurce, przyglądając się młodej wdówe.

Nie uczyniłbym tego, gdybym nie został ośmieszony. Wiadomo panu, że kobiety umieją kokietować wszystkim, nawet — kaszlem. Moja sąsiadka kaszlała zalotnie i wyzywająco...

Skutek kilkakrotnego przypatrywania się i wpatrywania (rozumie się, że przez ten czas ani dwóch wierszy nie zrymował) był taki, że się w ładnej wdówce zakochałem.

Pan był kiedy zakochany? No, to pan musi wiedzieć, że zakochany, pijany i warij — to synonimy.

Czwartego wieczoru zapukałem do dzielących nas drzwi i głosem drżącym trochę, lecz śmiałym (nikt na mnie nie patrzył) poprosiłem sąsiadkę o pożyczenie... zapalki.

Roześmiała się serdecznie i rzekła:

— Chętnie spełniłabym pańskie życzenie, ale nie widzę sposobu podania panu zapalki — przez ścianę...

Wówczas, zniżając głos, powiedziałem jej o istnieniu dziurki.

Roześmiała się jeszcze serdeczniej, dziurkę z łatwością odnalazła i wsunęła mi przez nią zapalkę.

„Dziękuję z całego serca“. — „Niema za co“. — „Dobrej nocy“. — „Dobranoc“. — „Przyjemnych marzeń“. — „Nawzajem“...

Byłem w tak zwanem „siódmym niebie“. Reszta nocy zeszła mi na najpoetyczniejszych w świecie marzeniach. O pisaniu jednak anim pomyślał. I wyznam panu, że owej chwili poezja pisana w porównaniu z poezją życia wydawała mi się nadzwyczajnym głupstwem.

Następnego dnia usłyszałem znaczący kaszelek, a wkrótce potem „dobry wieczór“ i — „nie mógłby sąsiad pożyczyć mi... świecy?“

— Jak najchętniej. Którędyż ją jednak podam?

— A dziurka?...

Dziurka była w sam raz do zapalki. Ażeby przeprowadzić tędy świecę, należało ją rozszerzyć.

Rozszerzaniem dziurki zajęliśmy się oboje z wielkim zapałem, który doprowadził mnie do tego, że oświadczyłem wdówce miłość gorącą, jak lawa Wezuwiusza, niezłomną jak stal tolekańska, wieczną jak... wieczność.

A, ona... śmiała się!

Nie będę opowiadał panu szczegółowo dalszych wypadków. Nie chcę rozdzierać zabliznionej rany.

We dwa miesiące później wdówka wyszła zamaż za grubego oberkelnera z pierwszorzędnej restauracji; mnie zaś wyszły wszystkie włosy z głowy.

W ciągu tych kilku tygodni zbiór moich „Pism“ powiększył się tylko o jeden tytuł: „W uściskach syreny...“

Mógłbym powiedzieć stylem Szekspira (często go przypominam): razem z głową wyłysiało moje serce!

Poeci mają cele wyższe i tak dalej... Mickiewicz, Krasiński i Krasicki, *et caetera*.. Wiem! wiem! Dowiedzieć się jednak chciałbym, który z wielkich poetów — prócz mnie — kochał się we wdówce?

Kochali się w pannach, mężatkach, rozwódkach — od wdów wszelkiego rodzaju każdy uciekał. Studjowałem ten przedmiot — zapewniam pana, że się nie mylę.

Bezpośrednio po zalotnej wdówce los zesłał mi sąsiada hydropatę. Fatalność przybrała tym razem rolę Opatrzności...

Hydropatja jest wielce skurecznem lekarstwem na miłość.

Przykład sąsiada zachęcił mnie do hydropatji, i dziś ją błogosławię. Nie odrosły mi wprawdzie od niej włosy na głowie, odzyskałem jednak apetyt do życia.

Zimna woda uspokoiła moje nerwy; wódka miętowa (w zwiększonych dawkach) wzmocniła mój organizm. W owym czasie czułem się lwem — szukałem też największych niebezpieczeństw, żeby im śmiało spojrzeć w oczy.

Jedynie przed kobietami wzrok spuszczałem — ale to dlatego tylko, że w każdej podejrzewałem... wdowę.

Mój nowy sąsiad był urzędnikiem. W dzień psuł zdrowie w ciasnej, pełnej kurzu i śmieci kancelaryjce; w nocy naprawiał je — pod prysznicem. Po kilka godzin z rzędu słyszałem za ścianą szum wody, szczekanie aparatów (było ich kilka, różnych systemów) oraz parskanie, czmychanie, kichanie i rżenie sąsiada.

Przy głosach tego rodzaju trudno było cokolwiek napisać. Proza możeby się od biedy udawała — ale ja wierzyłem tylko

w wiersze, tylko wierszami do narodu przemawiać umiałem.

Ołsnię pana swemi wierszami — gdy je napiszę.

Nie mogłem rymować, gdy sąsiad praktykował hydroterapię — nie mogłem tem bardziej, gdym ją sam uprawiać zaczął.

Uczyniłem też w owym czasie spostrzeżenie zadziwiające. Im więcej zimnej wody spływało na moją łysinę, tem rzadziej nawiedzało mnie natchnienie...

Czułem, że pod działaniem prysznicu przygasa we mnie stopniowo „święty ogień“ poezji. Fizycznie byłem coraz zdrowszy, alem marniał duchem. I Bóg wie, czemu się skończyło, gdyby nie zbawcza myśl szukania ratunku w miętówce. Nie zawiodła! Co pod działaniem wody stygło we mnie i gasło, wódka nowno rozgrzewała i rozżarzała.

(Bajkę o nosie miałem już zaszczyt panu wytłumaczyć — niechże mi pan jej teraz nie przypomina...)

Kurację oziębiająco - rozgrzewającą prowadziłem ze znakomitym dla zdrowia skutkiem, przez pół roku. Prowadziłbym

ją dłużej, gdyby nie nagła choroba i śmierć sąsiada. Przeziębł się pod prysznicem i umarł na ostre zapalenie płuc.

Śmierć tego człowieka, skąd inąd rozsądnego, była wynikiem uporów. Był anti-alkoholikiem i nie chciał słuchać Wirgiliusza (może Homera? — dobrze nie pamiętam), który w tym względzie wyrzekł: „nulla regula sine exceptione“. Posłałem mu butelkę miętowej w najlepszym gatunku — nie tknęła jej. No, ziemię gryzie!

Nie będę panu mówił o sąsiedztwach muzycznych, ani o rodzinnych i dziecięcych, ani o takich wreszcie, co posiadały komplet narzędzi inkwizycyjnych, to jest: prócz dzieci i fortepianu, psy i kanarki śpiewające.

Spotyka się to w każdym domu warszawskim, i stanowi udręczenie dzienne i nocne, nietylko poetów.

Ale opowiem na zakończenie najzabawniejszą ze swych awantur sąsiedzkich.

Wynalazłem raz sobie mieszkanie — idealne. Dom na jednej z najoddalniejszych ulic, prawie na końcu miasta, oddzielony od innych, samotny. Dokoła puste place,

doly, szczątki ogrodów i fabryk. Podwórze niebrukowane — dzieci i psów ani śladu.

W poprzecznej oficynie tego domu wynająłem pokój na pierwszym piętrze. Więcej pięter oficyna nie posiadała, parter był zajęty przez jakieś składy, do których zaglądano raz na kilka tygodni.

Z jednej strony miałem sieni, od której przedzielała mnie pusta, ciemna, zawsze otwarta komórka, zastępująca niejako przedpokój; z drugiej małe dwupiętrowe mieszkanie, w którym mieścili się wedle objaśnień stróża „bardzo spokojne ludzie“.

Od tego mieszkania dzieliły mnie nie drzwi zamaskowane, lecz mur dość gruby, „masywny“.

Gdy pierwszego nocy powróciłem z biura do domu, myślałem, że słychać łażącego po dachu kota. Przygotowałem na biurku papier, atrament, zapas piór — i ułożyłem się w ubraniu do dwugodzinnej drzemki.

O północy wstaję, nasłuchuję: cisza też sama, co wpierw, głucha, niczem niezmacona. Pełen otuchy, wypisuję ozdobny

tytuł — przechylam się wtył ze stałówką w zębach — wyteżam myśl, szukając rymów...

Po chwili słyszę za ścianą szelest rytmiczny: raz — dwa... raz — dwa... Jakby kołysało się wahadło.

— Zegar... — myślę i pochylam się nad papierem, żeby zapisać pierwszy ułowany rym.

Alé nie zapisuję go, gdyż dobiega do mnie inny głos, okazujący, że przypuszczenie moje błędne.

Za ścianą ktoś śpiewa, nie śpiewa, lecz nuci. Nuci sennie, cichutko, jakby obawiając się kogoś innego przebudzić.

Wstaję — ucho przykładam do ściany. Wszyscy poeci są ciekawi. Gdyby nie byli nimi, skądby brali treść do swoich utworów?

W minutę później już wiem: kto śpiewa i co śpiewa.

Piosenka jest bardzo prosta:

— Lu — lu... lu — lu siu...

Szelest rytmiczny wydaje rozbujana kolebka; śpiewaczką jest matka, usypiająca dziecko.

Przyznam się panu, że uczyniwszy to odkrycie, siarczyście zakląłem. Miła niespodzianka; bachor, który będzie darł się po nocach, nie dając ani pracować, ani spać...

W repertuarze moich udřeżeń tego tylko brakowało!

Załamałem w rozpacz ręce — zacząłem chodzić szybko po pokoju, nie przestając kląć, naturalnie półgłosem.

Tymczasem w ciszy nocnej śpiew stawał się coraz wyraźniejszy — choć był wciąż jednakowo przeciągły, senny i smutny. Nie było sposobu uciec przed piosenką. Mimowoli słuchałem jej i mimowoli poddawałem się jej wpływowi.

I co pan powie? Ja, stary, łysy chłop, dla którego przepędzić bez snu dwie, trzy noce jest fraszką — chrapałem przy tem śpiewaniu nie wiedział jak i kiedy, i przespałem resztę nocy tak twardo i smacznie, jak za najlepszych lat swego pędractwa!

Następnęj nocy to samo: buj — buj!... lu — lu — siu...

Śpiew mniej już mnie drażnił — wydawał mi się nawet dość znośnym. Ale

drżał z obawy, że dzieciak lada chwila się obudzi i drzeć się zacznie.

Ale nie obudził się i nie darł.

— Musi to być dziecko samo z siebie spokojne — myślałem — przytem matka umie swym śpiewem robić z niem, co chce...

Z każdą nocą ten śpiew za ścianą bardziej mi się podobał. Przyszło nawet do tego, że z upragnieniem czekał, kiedy nieznajoma śpiewać zacznie.

Nie zawsze nuciła półgłosem. Od nucięcia zwykle zaczynała; potem, gdy już widocznie dzieciak twardo zasnął, rozśpiewywała się na dobre. Wówczas szły piosenki za piosenkami ciągiem nieprzerwanym.

Nie zliczyć, ile ich umiała!

Ludowe i teatralne, religijne i świątowe, dawne i najnowsze, arje z oper i kuplety z operetek — to wszystko płynęło z jej ust z jednakową łatwością i z jednakowym wdziękiem przy rytmicznym bujaniu się kolebki.

Przerwy między piosenkami wypełniały przemowy do dziecka śpiącego:

— Mój synuś!... Moje złoto!... Moje wszystko na świecie!...



Nie usypiało mnie już to śpiewanie, lecz — rozmarzało. Z głową na rękę wspartą, byłem gotowy słuchać go całymi godzinami. Ach, panie! ile przez te godziny przeszło myśli przez moją głowę, uczuć przez serce!..

Wie pan?... bywały chwile, żem zapomniiał o swych czterdziestu kilku latach, o swej łysinie i nosie czerwonym — żem widział się napowrót dzieciątkiem małym, niewinnem, usypianem przez matkę piosenkami...

Bo moja matka, panie... moja dobra, ubóstwiana matka... która mnie, panie, w trzecim roku życia odumarła... i która nie przeczuwała, panie, że jej Łołuś będzie kiedyś kąty magistrackie wycierał... moja matka, panie, była wykształcona, muzykalna, delikatna... i umarła na atak sercowy... śpiewając... swemu... Łoluśsiowi...

Nie, panie... nie będę płakał. Ale wówczas... każdej nocy płakałem. Były to dobre łzy, słodkie łzy. Wszystkie moje biedy i utrapienia roztopiały się w tych łzach, spływały z niemi...

Odzywał się niekiedy za ścianą głos drugiej kobiety — starej — matki zapewne. Głos był gruby, nieprzyjemny — brzmiał zawsze ostro i jakby łająco.

Ten drugi głos rzadko słyszałem — najczęściej wówczas tylko, gdy śpiew nieznajomej nazbyt długo się przeciągał. Po kilku energicznych upomnieniach towarzyszki nieznajoma milkła. Razem z piosenką ustawał stuk kolebki. W jednej chwili wszystko pogrążało się w ciemności i śnie...

Nie były te noce dla mnie stracone. Układałem podczas nich całe poematy. Zbytek wzruszenia pisać mi ich nie pozwalał — ale to okoliczność podrzędna.

Mocno mnie zaciękawiała osobistość nieznajomej. Jednak nie doświadczałem najmniejszej ochoty świdrowania dziur w ścianie.

Nie tylko nocą, lecz i podczas dnia niepokoiły mnie pytania: kto ona? dlaczego z mężem nie żyje? czy mąż rozłączył się z nią czasowo, szukając po świecie chleba dla żony i dziecka, czy też żonę i dziecko — porzucił?...

Odgadywałem w życiu tej kobiety tragedję. Tyle tych tragedyj na świecie!

— Gdybym mógł jej pomóc! — myślałem często, odrywając wzrok od papierów kancelaryjnych i wodząc nim po kancelaryjnym suficie. Cóż ja jednak byłem w stanie uczynić dla tej kobiety — i dla kogokolwiek? Chyba ułatwić jaką formalność w magistracie?

Zastanowiło mnie raz niezwykle spokojne zachowywanie się jej dziecka. Nigdy nie słyszałem jego płaczu, ani śmiechu.

— Czy nie chore? — zaniepokoiłem się.

Nie! — nie mogło być chore! Do chorego dziecka nie przemawiałaby matka takim dźwięcznym, pełnym radości i dumy głosem:

— Mój synuś!... moje wszystko na świecie!...

Jednej nocy zaszedł wypadek, który mnie gwałtownie wzruszył i przeraził.

Nieznajoma śpiewała jak zwykle i jak zwykle słycać było miarowe bujanie kołyski. Nagle i jedno i drugie ustaje — chwila ciszy — potem okropny, rozdzierający krzyk i łoskot ciała, padającego całym ciężarem na podłogę.

I znów cisza... Zdrętwiałem.

— Dziecko umarło!...

W tej chwili odezwał się za ścianą gruby głos starej kobiety. Mówiła prędko, gniewnie, zapalczywie. Nie mogłem słów dosłyszeć, bo ściana z trudnością gruby głos przepuszczała. To pewne, że w sposób ordynarny lajała towarzyszkę.

Łajanie trwało długo — tak długo, aż mnie znużyło i spać się położyłem. Myśl o śmierci dziecka utkwiała mi w głowie. Dręczyły mnie przez sen straszne widziadła: trumny, pogrzeby, cmentarze...

Nazajutrz budzę się z bólem głowy i slysze:

— Buj — buj!... lu — lu! — lu siu!...

Przez chwilę zdawało mi się, że cała nocna awantura była tylko snem...

Niestety! ten sen miał się powtarzać odtąd każdej nocy.

Zawsze o jednej porze za ścianą rozlegał się krzyk, łoskot padającego ciała; potem następowała cisza, a ciszę przerywały grube, z każdym dniem głośniejsze i zapalczywsze łajania.

Nadzwyczaj męczyły mnie te noce. Prawie wcale sypiać nie mogłem. Przy-

chodziłem do biura niewywczasowany, drzemiący — robota szła źle, myliłem się w przepisaniu, robiłem błędy w rachunkach. To nawet było głównym powodem, że nie otrzymałem wówczas spodziewanego od wielu lat awansu.

Czym otrzymał go później? Nie! do-  
tąd na niego czekam. A wie pan dla-  
czego? Bo jestem — poetą (niedrukowa-  
nym, jak panu wiadomo). Ci ludzie na-  
wet Mickiewiczowi odmówiliby awansu,  
a Słowacki przy rozdawaniu „gratyfikacji“  
byłby pominięty, jako mało użyteczny.

Nie mogłem pojąć, co się działo  
w mieszkaniu nieznajomej. Działo się jed-  
nak coraz gorzej. Krzyki rozlegały się  
teraz jedno po drugim, coraz głośniejsze  
i coraz dziksze — prócz łajania, słychać  
było szamotanie się — może nawet bicie...

A w przerwach kołyska stukiała ryt-  
micznie i śpiew płynął miły, słodki, roz-  
zewniający...

Jednej nocy nawet na minutę oka  
zmrudzić nie mogłem.

Piekielna była to noc, pełna krzyków  
nie ludzkich, płaczu spazmatycznego, wy-  
myślań, bicia...

Uciekłem z domu za ledwie dniało —  
wróciłem, gdy już noc zapadła.

Stróż, zwykle ponury i milczący,  
otworzywszy bramę, przytrzymał mnie  
za rękaw.

— No, tera to już pan będzie miał ci-  
cho... — rzekł tonem przyjaznym.

— Dlaczego?

— A bo już tę warjatkę do szpitala  
wzieni.

— Jaką warjatkę?

— Tę, co wedle pana mieszkała.

Zrozumiałem — i zrobiło mi się tak  
smutno, jakbym się dowiedział o nie-  
szczęściu kogoś najbliższego.

— A dziecko?

— Jakie znów dziecko? Tam dziecka  
nijakiego nie było.

— Przecież słyszałem kołysanie,  
śpiew...

— To wszystko z warjacji. Dzieciaka  
to ona miała — jeno, że jej umarł dwa  
roki temu. A że wtemporę małżonka jej  
wzion i z drugą ucił, więc zwarjowała.  
Poszło to z tego, że dwoje nieszczęściów  
naraz było zawiele dla takiej chudziny.  
Więc w tej wariacji uwidziało się jej,

że dzieciak żyje, a monż to zaraz wróci i jeszcze prezynków jej przywiezie. Więc bez całej dnie i noce chojdała a chojdała pustą kolibczyne i różne tam bajdy śpiwała i pytała ciegim: Wrócił mój Jasio? (niby monż) i jeszcze gadała: — Słyszycie? mój Jasio jadzie tom deroškom... Więc, że to nikomu nie wadziło, famielja nie dawała jej do śpitała, jeno ją osadziła w naszym domu na osobności.

— Z matką mieszkała?

— Z jaką tam matką! To była dozorczeni. Jej matka, to przecie wielga pani i nie stara jeszcze i widzi mi się, co sama menża se szuka. Więc jak ta warjatka zaczena bardzo brykać, tak się zmówili, karytę przysłali i do Bonifratów ją zawieźli. I tyle!

Gdym stróżowskiego opowiadania wysłuchał, zrobiło mi się strasznie, ale to strasznie głupio...

I gdyby nie miętowa numer trzeci...

Niechże pan teraz sam osądzi: mógłże ja dotąd „Pisma“ swoje — napisać?



286496